

KWIAT PAPROCI

Od wieków wiecznych wszystkim wiadomo, a szczególnie starym babusiom, które o tem szeroko a dużo opowiadają wieczorem przy kominie, gdy się na nim drevka jasno palą i wesoło potrzaskują, że nocą św. Jana, która najkrótszą jest w całym roku, kwitnie paproć, a kto jej kwiatusek znajdzie, urwie i schowa, ten wielkie na ziemi szczęście mieć będzie.

Bieda zaś cała z tego, że noc ta jest tylko jedna w roku a taka niezmiernie krótka, i paproć w każdym lesie tylko jedna zakwita, a to w takim zakątku, tak ukryta, że nadzwyczajnego trzeba szczęścia aby na nią trafić.

Ci co się na tych cudowiskach znają, mówią jeszcze i to, że droga do kwiatu bardzo jest trudna i niebezpieczna, że tam różne strachy przeszkadzają, bronią, nie dopuszczają i nadzwyczajnej odwagi potrzeba, aby zdobyć ten kwiat.

Dalej jeszcze powiadają, że samego kwiatka w początku rozeznac trudno, bo się wydaje maleńki, brzydki, niepozorny, a dopiero urwany przemienia się w cudownej piękności i jasności kielich.

Że to tak bardzo trudno dojść do tego kwiatuszka, i ułapić go, że mało kto go oglądał, a starzy ludzie wiedzą o nim tylko z postuchów, więc każdy rozpowiada inaczej i swojego coś dorzuca.

Ale to przecież pewna, że nocą świętojańską on kwitnie, krótko, póki kury nie zapieją, a kto go zerwie, ten już będzie miał co zechce.

Pomyśli tedy sobie, choćby najcudowniejszą rzecz, ziści mu się wnet.

Wiadomo także, iż tylko młody może tego kwiatu dostać i to rękami czystymi.

Stary człowiek choćby nań trafił, to mu się w palcach w próchno rozsypie.

Tak ludzie bają, a w każdej baśni jest ziarenko prawdy, choć obwijają ludzkie w różne szmatki to jąderko, że często go dopatrzeć trudno, ale taki ono jest.

I z tym kwiatkiem to jedno pewna, że on nocą św. Jana zakwita.

Pewnego czasu był sobie chłopak, któremu na imię było Jacuś, a we wsi przezywali go ciekawym, że zawsze szperał, szukał, słuchał, a co było najtrudniej dostać, on się najgoręcej do tego garnął... taką miał już naturę. Co pod nogami znalazł, po co tylko ręką było sięgnąć, to sobie lekcewazył, za ba-i — bardzo miał, a o co się musiał dobijać, karku nadłamać, najwięcej mu smakowało.

Trafiło się tedy raz, że gdy wieczorem przy ogniu siedzieli, a on sobie kij kozikiem wyrzynał, chcąc koniecznie psią głowę na nim posadzić - stara Niemczycha, baba okrutnie rozumna, która po świecie bywała i znała wszystko, poczęła powiadać o tym kwiecie paproci...

Ciekawy Jacuś słuchał i tak się zastuchał, że mu aż kij z rąk wypadł a kozikiem sobie omal palców nie pozarzynał.

Niemczycha o kwiecie paproci rozpowiadała tak, jakby go sama w żywe oczy widziała, choć po jej łachmanach szczęścia nie było znać. Gdy skończyła, Jacuś powiedział sobie:

- *Niech się dzieje co chce a ja kwiatu tego muszę dostać. Dostanę go, bo człowiek kiedy chce mocno, a powie sobie że musi to być, zawsze w końcu na swoim postawi.*

Jacusz to często powtarzał i takie miał głupie przekonanie.

Tuż pod wioską, w której stała chata rodzicieli Jacusia, z ogrodem i polem — był niedaleko las, i pod nim właśnie obchodzono Sobótki, a ognie palono w noc świętojańską.

Powiedział sobie Jacusz:

- *Gdy drudzy będą przez ogień skakali i tydki sobie parzyli, pójdę w las, znajdę ten kwiat paproci. Nie uda mi się jednego roku, pójdę na drugi, na trzeci, i będę chodził póty, aż go wyszukam, i zdobędę.*

Przez kilka miesięcy potem czekał, czekał na tę noc, i o niczym nie myślał, tylko o tym. Czas mu się strasznie długim wydawał.

Na ostatek nadszedł dzień, zbliżyła się noc, której on tak wyglądał; ze wsi wszystka młodzież się wysypała, ognie palić, skakać, śpiewać i zabawiać się.

Jacusz się umył czysto, wdział koszulinę białą, pasik czerwony nowy łąpcie lipowe nienoszone, czapeczkę z pawiem piórkim, i jak tylko pora nadeszła a mrok zapadł, szmyrgnął do lasu.

Las stał czarny, głuchy, nad nim noc ciemna, z mrugającym gwiazdkami, które świeciły, ale tylko sobie, bo z nich ziemi nie było pożytku.

Znał Jacusz dobrze drogę w głąb lasu po dniu, i jaką ona bywała w powszedni czas. Teraz gdy się zapuścił w głąb — osobliwsza rzecz, nie mógł ani wiadomej drożyny znaleźć, ani drzew rozpoznać. Wszystko było jakies inne. Pnie drzew zrobiły się ogromnie grube, powalone na ziemi. Kłody powyrastały tak, że ani ich obejść, ani przez nie przeleźć; krzaki się znalazły gęste a kolące, jakich tu nigdy nie bywało; pokrzywy piekły, osty kęsały. Ciemno, choć oczy wykol, a wśród tych mroków gęstych, coraz to zaświeci para oczu jakichś i patrzą na niego, jakby go zjeść chciały, a mienią się żółto, zielono, czerwono, biało, i — nagle migną i gasną. Oczu tych na prawo, na lewo, w dole, na górze, pokazywało się mnóstwo, ale Jacusz się ich nie uląkł. Wiedział, że one go tylko nastraszyć chciały i pomrukiwał że to strachy na lachy!

Szedł dalej, ale co to była za ciężka sprawa z tym chodem! To mu kłoda drogę zawałiła, to on przez nią się przewalił. Drapie się, drapie, a gdy na wierzch wlaź i ma się spuścić, patrzy, a ona się zrobiła taka mała, że ją mógł nogą przestąpić.

Dalej stoi na drodze sosna, w górze jej końca niema, dołem pień jak wieża gruby. Idzie wkoło niego, idzie, aż gdy obszedł, patrzy, a to patyk taki cienki, że go na kij wyłamać by można...

Zrozumiał tedy, że to wszystko było zwodnictwo nieczystej siły.

Potem stanęły na drodze gęszcze takie, że ani palca przez nie precisnąć, ale Jacusz jak się rzucił, pchnął, zamachnął: zdusił je, zmiętosił, połamał i przedarł się szczęśliwie...

Idzie, aż moczar i błoto. Obejść ani sposób; spróbował nogą, grzęźnie, że ani dna dostać. Gdzieniedzie kępiny wystają, więc on z kępy na kępę. Co stąpi na którą, to mu się ona z pod stóp wysuwa, ale jak począł biec, dostał się na drugą stronę błota. Patrzy za siebie, aż kępiny wyglądają gdyby ludzkie głowy z błota i śmieją

się... Dalej już, choć kręto i bez drogi, szło mu łatwiej, tylko się tak błąkał, że gdyby mu przyszło powiedzieć którądy nazad do wsi, już by nie umiał rozpoznać w której stronie leżała.

Wtem patrzy, przed nim ogromny kwiat paproci, ale taki jak dąb najstarszy, a na jednym liście jego u spodu, świeci się gdyby brylant kwiatusek jak przylepiony... pięć w nim listków złotych, w środku zaś oko śmiejące się, a tak obracające ciągle jak młyńskie koło... Jacusiowi serce uderzyło, rękę wyciągnął, i już miał pochwycić kwiat, gdy nie wiedzieć skąd, jak... kogut zapiął: kwiatek otworzył wielkie oko, błysnął niemi — zgasnął. Śmiechy tylko dały się słyszeć dokoła, ale czy to liście szemrały tak, czy się co śmiało, czy żaby skrzeczały, tego Jacuś rozpoznać nie mógł, bo mu się w głowie zawieruszyło, zaszumiało, nogi jakby kto podciął, i zwałił się na ziemię.

Potem już nie wiedział co się z nim stało, aż się znalazł w chacie na pościeli, a matka płacząc mówiła mu, że szukając go po lesie, nad ranem pół żywego znalazła.

Jacuś sobie teraz wszystko dobrze przypominał, ale do niczego się nie przyznał. Wstyd mu było. Powiedział sobie tylko, że na tym nie koniec, przyjdzie drugi Święty Jan, zobaczymy...

Przez cały rok tylko o tym dumał, ale żeby się z niego ludzie nie naśmiewali, nikomu nic nie mówił. Znowu tedy umył się czysto, koszulę włożył białą, pasik czerwony, łapcie lipowe nienoszone — i gdy drudzy do ogniów szli, on w las.

Myślał, że znowu mu przyjdzie się przedzierać jak pierwszym razem, aż ten sam las i taż sama droga zrobiła się zupełnie inną. Wysmukłe sosny i dęby stały porozstawiane szeroko, na gołym polu kamieniami posiałym... Od jednego drzewa do drugiego iść było potrzeba, iść, i choć zdawało się tuż blisko, nie mógł dojść, jakby uciekał od niego, a kamienie ogromne, mchem całe porośłe, śliskie, choć leżały nieruchome, jakby z ziemi wyrastały. Pomiędzy nimi paproci stało różnej, małej, dużej, jak zasiał, ale kwiatu na żadnej. Z początku paproci było po kostki, potem do kolan, aż w pas, dalej po szyję i utonął w niej nareszcie, bo go przerostała... Szumiało w niej jak na morzu, a w szumie niby śmiech słyszać było, niby jęk i płacze. Na którą nogą postąpił, syczała, którą ręką pochwycił, jakby z niej krew ciekła...

Zdawało mu się, że szedł rok cały, tak długą wydała mu się ta droga... Kwiatu nigdzie... nie zawrócił się jednak i nie stracił serca a szedł dalej.

Na ostatek... patrzy, świeci z dala ten sam kwiatek, pięć listków złotych dokoła, a w pośrodku oko obraca się jak młyn...

Jacuś podbiegł, rękę wyciągnął, znowu kury zapiął i znikło widzenie.

Ale już teraz nie padł, ani omdlał, tylko siadł na kamieniu. Z początku na łzy mu się zbierało, potem gniew w sercu poczuł i zburzyło się w nim wszystko.

- *Do trzech razy sztuka!* — zawołał z gniewem... A że zmęczonym się czuł, położył się między kamienie na mchu i zasnął.

Ledwie oczy zmrugał, gdy mu się marzyć poczęło. Patrzy, stoi przed nim kwiatek o listkach pięciu, z oczkiem pośrodku i śmieje się...

- *A co? Masz już dosyć* — mówi do niego. — *Będziesz ty mnie prześladował?*

- *Com raz powiedział, to się musi stać* – mruknął Jacuś - *na tym nie koniec, będę cię miał!*

Jeden listek kwiatka przedłużył się jak języczek, i Jacusiowi się wydało jakby mu na przekorę się pokazał, potem znikło wszystko i spał snem twardym do rana. Gdy się obudził, znalazł się w znajomym miejscu na skraju lasu, niedaleko od wioski i sam nie wiedział już czy to co wczoraj było, snem miał zwać czy jawą. Powróciwszy do chaty, zmęczonym się tylko czuł tak, że położyć się musiał i matka mówiła mu, że wyglądał jak z krzyża zdjęty.

Przez cały rok, nic nie mówiąc nikomu, myślał ciągle jakby tego dokazać, żeby kwiatu dostać? Nie mógł jednak nic wydumać, trzeba było spuścić się na szczęście swoje, na dolę, lub niedolę.

Wieczorem znowu koszulę wdział białą, pasik czerwony, łapcie nienoszone, i choć go matka nie puszczą, jak tylko ściemniało, pobiegł do lasu.

Stała się znowu inna rzecz, las był taki jak zawsze pospolitych dni, nic się już w nim nie mieniło. Ścieżki i drzewa były znajome, żadnego cudowiska nie spotykał, a paproci nigdzie ani na lekarstwo. Ale lżej mu było wiadomymi ścieżkami dostać się daleko, daleko w gąszczu, gdzie pamiętał dobrze, że paprocie rosły... znalazł je na miejscu i nuż w nich grzebać, ale kwiatu nigdzie ani śladu.

Po jednym łążyły robaki, na drugim spały gąsienice, inne liście były poschłe. Już miał Jacuś z rozpaczki porzucić daremne szukanie, gdy — tuż pod nogami zobaczył kwiatek, pięć listków miał złotych, a w środku oko świecące. Wyciągnął rękę i pochwycił go. Zapiekło go jak ogniem, ale nie rzucił, trzymał mocno.

Kwiat w oczach rosnąć mu poczynął, a taką jasność miał, że Jacuś musiał powieki przymknąć, bo go oślepią. Wcisnął go zaraz za pazuchę, pod lewą ręką na serce...

Wtem głos się odezwał do niego:

- *Wziąłeś mnie — szczęście to twoje, ale pamiętaj o tym, że kto mnie ma, ten wszystko może co chce, tylko z nikim i nigdy swoim szczęściem dzielić mu się nie wolno...*

Jacusiowi tak się w głowie z wielkiej radości zaćmiło, że niewiele na ten głos zważał.

„*A! Co mi tam!* - rzekł w duchu - *byle mnie na świecie dobrze było...*”

Poczuł zaraz, że mu ów kwiat do ciała przyłgnął, przyrósł i w serce zapuścił korzonki... Ucieszył się z tego bardzo, bo się nie obawiał, aby uciekł albo mu go odebrano.

Z czapczką na bakier, podśpiewując, powracał nazad. Droga przed nim świeciła jak pas srebrny, drzewa się ustępowały, krzaki odchylały, kwiaty które mijał, kłaniały mu się do ziemi. Z głową podniesioną stąpał i tylko roił, czego ma żądać. Zachciało mu się naprzód pałacu, wioski ogromnej, służby licznej i straszego państwa; no i ledwie o tym pomyślał, gdy znalazł się u kraju lasu, ale w okolicy zupełnie mu nieznaney...

Spojrząwszy sam na siebie, poznać się nie mógł. Ubrany był w suknie z najprzedniejszej sajety, buty miał na nogach ze złotymi podkówkami, pas sadzony, koszulę z najcieńszego śląskiego płótna.

Tuż stał powóz, koni białych sześć w chomątach pozłocistych, służba w galonach — kamerdyner rękę mu podał, kłaniając się, wsadził do karety i — wio!

Jacusz nie wątpił, że do pałacu go wiozą; jakoż tak się stało. W mgnieniu oka powóz był u ganku, na którym służba liczna czekała.

Tylko ani znajomego nikogo, ani przyjaciela, twarze wszystkie nieznane, osobliwe, jakby przestraszone i pełne trwogi.

Miał za to na co patrzeć, wszedłszy do środka... Strach, co to był za przepych i jaki dostatek — tylko ptasiego mleka brakło.

- *No! będę teraz używał!* — mówił Jacusz i opatrzywszy kąty wszystkie, naprzód poszedł do łóżka, bo go sen brał, po tej nocy pracowite. W puchu jak legł na białej cienińskiej, przykrywszy się kołdrą jedwabną; i gdy usnął — sam nie wiedział ile godzin tam przeleżał. Obudził się, gdy mu się strasznie jeść zachciało.

Stół był zastawiony, gotowy i taki osobliwy, że co Jacusz pomyślał to mu się na półmisku sunęło samo. I jak spał bardzo długo, tak teraz, począwszy jeść a popijać, nie przestał, aż dalej już nie było co wymyślać i smak stracił do jadła.

Szedł potem do ogrodu.

Cały on był zasadzony takim drzewami, na których kwiatów było pełno razem i owoców; a coraz to nowe odkrywały się widoki. Z jednej strony ogród przypierał do morza, z drugiej do lasu wspaniałego; środkiem płynęła rzeka. Jacusz chodził, usta otwierał dziwił się, a najbardziej to mu się wydawało niezrozumiałym, że nigdzie swojej znajomej okolicy, ani tego lasu, z którego wyszedł, ani wioski — dopatrzeć się nie mógł. Nie zatęsknił jeszcze za nimi, ale — ot tak jakoś chciało mu się wiedzieć, gdzie się one podziały.

Wokoło otaczał go świat zupełnie mu obcy, inny, piękny, wspaniały, ale nie swój. Jakoś mu zaczynało być markotno. Na zawołanie jednak, gdy się ludzie zbiegać zaczęli, a kłaniać mu nisko, a co tylko zażądał spełniać i prawić mu takie słodczy, że po nich tylko się było oblizywać — Jacusz o wsi rodzinnej, o chacie i rodzicach zapomniał.

Nazajutrz zaprowadzono go na żądanie do skarbcza, gdzie stosami leżało złoto, srebro, diamenty i takie różne malowane papiery szczególne, za które można było dostać, co dusza zapragnęła, choć były zrobione z prostych gałganków, jak każdy papier inny.

Pomyślał sobie Jacusz: „Miły Boże, gdybym to ja mógł garść jedną albo drugą postać ojcu i matysi, braciom i siostram, żeby sobie pola przykupili, albo chudoby” - ale wiedział o tym, że jego szczęście takie było, iż mu się z nikim dzielić nim nie godziło, bo zarazy wszystko przepadło.

„Mój miły Boże! — rzekł sobie w duchu, — co ja mam się o kogo troszczyć, albo koniecznie pomagać; czy to oni rozumu i rąk nie mają? Niechaj każdy sobie idzie i szuka kwiatu, a daje radę jak może, aby mnie dobrze było”.

I tak żył sobie Jacusz dalej, wymyślając coraz to co nowego na zabawę.

Więc budował coraz nowe pałace, ogród przerabiał, konie siwe mieniał na kasztanowate, a kare na bułane, posprowadzał dziwów z końca świata, stroił się w złoto i drogie kamienie, do stołu mu przywozili przysmaki z za morza, aż w końcu sprzykrzyło się wszystko. Więc po pulpetach jadł surową rzepę, a po jarząbkach, schab wieprzowy i kartofle, a i to się przejadło, bo głodu nigdy nie znał.

Najgorzej z tym było, że nie miał co robić, bo mu nie wypadło ani siekiery, wziąć, ani grabi i rydla. Nudzić się zaczynał wściekle, a na to innej rady nie znał, tylko ludzi męczyć, to mu robiło jaką taką rozrywkę a i ta w końcu się uprzykrzyła...

Upłynął tak rok i drugi — wszystko miał czego dusza zapagnęła, a szczęście to mu się wydawało czasem tak głupie, że mu życie brzydło.

Najwięcej go teraz gnębiła tęsknica do wioski swojej, do chaty i rodziców, żeby ich choć zobaczyć, choć dowiedzieć się, co się tam z nimi dzieje... Matkę kochał bardzo, a jak ją wspominał, serce mu się ścisnęło.

Jednego dnia zebrało mu się na odwagę wielką — i siadłszy do powozu pomyślał, aby się znalazł we wsi przed chatą rodziców. Natychmiast konie ruszyły, leciały jak wiatr i nie patrzył się, gdy zatrzymały się przed znanemu mu dobrze podwórkiem. Jacusiowi łzy się z oczu puściły.

Wszystko to było takie, jak porzucił przed kilku latami, ale postarzałe, a po tych wspaniałościach, do których nawykł, jeszcze mu się nędzniejszemu wydawało.

Żłób stary przy studni, pieńek na którym drewna rąbał, wrotka od dziedzińca, dach porośnięty mchami, drabina przy nim... stały jak wczoraj. A ludzie?

Z chaty wychyliła się stara przygarbiona niewiasta, w zasmolonej koszuli, z obawą spoglądając na powóz, który się przed chatą zatrzymał.

Jacuś wysiadł; pierwszy spotykający go w podwórku był stary Burek, jeszcze chudszy, niż był niegdyś, z sierścią najeżoną. Szczekał na niego zajadle, przysiadając na tyle i ani myślał poznać.

Jacuś postąpił ku chacie, w progu jej wsparta o uszak drzwi, stała matka, wlepiając w niego oczy, ale i ta nie zdawała się w nim swojego rodzzonego domyślać.

Jacusiowi serce biło wzruszeniem wielkim.

- *Matuś — zawołał — ta toć ja, wasz Jacek!*

Na głos ten drgnęła staruszka, oczy zaczerwienione od dymu i płaczu skierowała ku niemu i stała oniemiała. Potrząsnęła potem głową.

- *Jacuś! wolne żarty, jaśnie panie! Tamtego już na świecie niema. Gdyby żył, toćby przecie przez lat tyle do biednych rodziców się zgłosił, a gdyby jak wy we wszystko opływał, z głodu nie dałby im umrzeć.*

Pokiwała głową i uśmiechnęła się szydersko.

- *Gdzie tam! Gdzie tam!* — rzekła. — *Jacuś mój miał serce poczciwe i nie chciałby nawet szczęścia, z którym by się nie mógł podzielić ze swoimi.*

Zasromał się mocno Jacuś, oczy spuścił... Kieszenie miał pełniuteńkie złota — ale co ręką sięgnął, ażeby garść jego rzucić w fartuch matce, to strach go brał wszystko razem utracić...

I stał tak, stał upokorzony, zawstydzony, a starucha na niego spoglądała..

Poza nią zbierało się rodzeństwo, pokazała się głowa ojca... Jacusiowi serce miękło, ale jak spojrzął na swój powóz, konie, ludzi, a pomyślał o pałacu, znowu twardniało i czuł, że kwiat paproci leżał na nim, jak pancierz żelazny...

Odwrócił się od starej matki nie mówiąc słowa; nie patrząc i wolnym krokiem poszedł, słysząc tylko za sobą wściekle ujadającego Burka... Siadł do powozu i kazał jechać na powrót do raję.

Ale co się w nim i z nim działo, tego żaden język nie wypowie, żadne pióro nie opisze. Słowa starej matki, że niema szczęścia dla człowieka jeżeli się nim dzielić nie może, brzmiały mu w uszach jak przekleństwo.

Powróciwszy do pałacu, kazał kapeli grać, panom swoim tańcować zastawić stoły — upił się nawet trochę, kilku ludzi kazał oćwiczyć, ale to wszystko nie pomogło, pozostał bardzo markotnym...

Przez cały rok, choć, jak zwykle we wszystko opływał, w gębie mu czegoś było gorzko, a w sercu jakby kamień dźwigał...

Nie mógł w końcu wytrzymać, po roku znowu pojechał do wsi swojej i chaty...

Spojrzał, wszystko jak było, żłób, pieniek, dach, drabina, wrota i Burek z sierścią najeżoną — ale stara matka nie wyszła. W progu pokazał się w koszulinie najmłodszy brat jego, Maciek.

- *A matuś gdzie?* — zapytał przybyły.

- *Chorzy leżą* — rzekł malec wzdychając.

- *A tatuś?*

- *Na mogiłach...*

Choć Burek mało go za pięty nie chwyczał, wszedł Jacuś do chaty. Stara matka stękając, leżała w kątku na łóżeczku. Podeszedł do niej Jacuś... popatrzyła nań, nie poznała... Mówić jej było trudno, a on o nic pytać się nie śmiał.

Serce mu się krajało. Już sięgał do kieszeni, aby złotem sypnąć na ławę — ale dłoń mu się ścisnęła, strach go paskudny ogarnął, że własne szczęście utraci.

Niegodziwy Jacuś począł mędrkować.

- *Starej już się niewiele na świecie należy, a jam młody. Ona się długo męczyć nie będzie... a przede mną... życie, świat, panowanie.*

I wyrwał się z chaty do powozu a z nim do pałacu; ale przybywszy tu, zamknął się i płakał.

Pod żelaznym pancerzem na piersiach, który włożył na nie kwiat paproci, związane i skrępowane budziło się sumienie... i gryzło mu wewnątrz serce.

Więc kazał kapeli grać, a dworni skakać i pić zaczął, aby je zagłuszyć.

Chwilami zdawało się, że go już nie słychać, a potem — jak wrzasto, Jacuś o mało nie oszalał. Ale nazajutrz i dni następnych ani na moment nie spoczywając, nużył się ciągle czemuś, latał, jeździł, strzelał, słuchał wrzasków różnych, jadł, pił... hulał... Nic nie pomagało...

W uszach ponad wszystkie wrzaski brzmiało:

„Niema szczęścia dla człowieka, jeżeli się nim z drugimi podzielić nie może”!

Rok nie upłynął, aż Jacuś wysechł jak szczapa, wyżółkł, jak wosk — i w tym swoim dostatku i szczęściu męczył się nie do zniesienia. W końcu po jednej nocy bezsennej, nakładłszy złota w kieszenie, kazał się wieźć do chaty.

Miał to postanowienie, choćby wszystko stracił, a matkę i rodzeństwo poratować.

- *Niech się już dzieje co chce!* — mówił — *niech ginę, dłużej z tym robakiem w piersi żyć nie mogę.*

Stanęły konie przed chatą.

Wszystko tu było jak przedtem; żłób stary u studni, pieńek, dach, drabina — ale w progu chaty żywej duszy nie było.

Jacús pobiegł do drzwi — stoły kołkiem podparte; zajrzał przez okno — chata była pusta...

Wtem żebrak, stojący u płotu, wołać nań zaczął:

- *A czego tam szukacie, jasny panie... Chata, wszystko pomarło z biedy, z głodu i choroby...*

Jakby skamieniały, stał ów szczęśliwiec u progu — stał i stał...

„Z mojej winy zginęli oni — rzekł w duchu — niechże i ja ginę!”

Ledwie to rzekł, gdy ziemia się otworzyła, i zniknął — a z nim ów nieszczęsny kwiat paproci, którego dziś już próżno szukać po świecie.